

# POWIEŚĆ: NOWELA

ROK XXII

WARSZAWA, DNIA 8 LUTEGO 1930 ROKU

NR. 6

JÓZEF CONRAD KORZENIOWSKI

PRZEKŁAD ANIELI ZAGÓRSKIEJ

## 6) JĄDRO CIEMNOŚCI

— Nie miałem wyobrażenia dlaczego ów agent wysiła się na rozmowę, ale gdyśmy tak gawędzili, przyszło mi nagle na myśl, że on chce coś ze mnie wyciągnąć — że poprostu bierze mię na spytki. Napomykał ciągle o Europie, o ludziach których znajomość mi przypisywał — zadawał mi pytania co do mych stosunków w „grobom” mieście i tak dalej. Jego małe oczki połyskiwały ciekawością jak dwa kółeczka z miki — choć usiłował się zachowywać dość wyniośle. Z początku mię to tylko dziwiło, ale wkrótce ogarnęła mnie szalona ciekawość, jakie wiadomości on ze mnie wyciągnie. Nie umiałem sobie wyobrazić co we mnie jest takiego, aby ten człowiek chciał ponosić tyle trudu. Bardzo było zabawnie patrzeć jak on sam się bierze na kawał, gdyż faktycznie nic we mnie nie było prócz dreszczów, a w głowie miałem tylko ten nieszczęsny parowiec. Agent brał mię najwidoczniej za bezwstydnego krętacza. W końcu zirytował się i udał że ziewa aby ukryć odruch wściekłego rozdrażnienia. Wstałem z miejsca. Zauważyłem na ścianie mały szkic olejny, przedstawiający kobietę w udrapowanej szacie, z zawiązanymi oczyma, niosącą zapaloną pochodnię. Tło było ciemne — prawie czarne. Ruch kobiety był majestatyczny, a blask pochodni oświetlał ponuro jej twarz.

— Zatrzymał mię ten obrazek, a agent stał uprzejmie koło mnie, trzymając pustą, półlitrową butelkę szampana (środek leczniczy) z wetkniętą w szyjkę świecę. Na moje zapytanie odpowiedział, że namalował to Kurtz — na tej samej stacji, przeszło rok temu — czekając sposobności aby się udać na swoją handlową placówkę.

— „Niechże mi pan powie” — zapytałem — „kto to jest ten Kurtz?”

— „Kierownik stacji wewnętrznej” — odrzekł zwięźle, odwracając oczy.

— „Bardzo panu dziękuję” — odpowiedziałem ze śmiechem. „A pan jest fabrykantem cegły na stacji centralnej. Każdy to wie”.

— Milczał przez chwilę.

— „To nadzwyczajny człowiek” — rzekł w końcu. — „To wysłaniec miłosierdzia, i nauki, i postępu, i djabli wiedzą czego tam jeszcze. Dla prowadzenia sprawy — że się tak wyrażę — powierzonej nam przez Europę” — zaczął nagle deklamować — „potrzebujemy wyższej inteligencji, wszechogarniającego współczucia, zupełnego oddania się celowi”.

— „Któż to mówi?” — zapytałem.

— „Całe mnóstwo ludzi” — odpowiedział. — „Niektórzy z nich nawet to piszą: i właśnie dlatego

on tu przybył — ta szczególnie uzdolniona jednostka — o czym powinien pan wiedzieć”.

— „Dlaczego powinienem wiedzieć?” — prze-rwałem, szczerze zdziwiony.

— Nie zwrócił na to uwagi.

— „Tak. Dzisiaj jest naczelnikiem najlepszej stacji, na przyszły rok będzie zastępcą dyrektora, jeszcze parę lat i... ale sądzę że pan wie, czym on będzie za jakie dwa lata. Pan należy do tej nowej paczki wyznającej cnotę. Ci sami ludzie, którzy go tu umyślnie przysłali, polecili także i pana. O, niech pan nie zaprzecza. Nie myli mnie świadectwo własnych oczu”.

— Błysnęło mi nagle światło. Wpływowe znajomości mojej kochanej ciotki wywarły nieoczekiwany efekt na tym młodzieńcu. O mało co nie parsknąłem śmiechem.

— „Czy pan czytuje poufną korespondencję towarzystwa?” — zapytałem.

— Nie zdołał mi odpowiedzieć ani słowa. Ba-wiłem się cudownie.

— „Gdy Kurtz zostanie głównym dyrektorem”, ciągnąłem surowo, „nie będzie pan miał do tego sposobności”.

— Zdmuchnął nagle świecę i wyszliśmy na dwór. Księżyc wzeszedł. Czarne postacie wałęsały się wkoło niedbale, lejąc wodę na rozżarzone węgle, od których rozchodził się syk; para wznosiła się w księżycowym blasku, — zbity Murzyn gdzieś jęczał.

— „Co za hałas to bydlę wyprawia!” — rzekł niezmordowany człowiek z wąsami, ukazując się koło nas. — „Dobrze mu tak. Przystępstwo — kara — łupu cupu! Bez litości, bez litości. To jedyny sposób. Na przyszłość położy to kres wszystkim pożarom. Mówiłem właśnie dyrektorowi...” Zauważył mego towarzysza, co natychmiast zbiło go z tropu. „Pan jeszcze nie w łóżku?” — rzekł z pewnego rodzaju służalczą serdecznością — „to takie naturalne. Ha! Niebezpieczeństwo — niepokój”.

— Znikł. Zmierzałem w dalszym ciągu ku rzece a tamten szedł ze mną. Usłyszałem koło ucha pogardliwy szepot: „Stado fuszerów — pal ich lichy”. Widać było jak pielgrzymi stoją grupkami i rajcują, gestykulując. Niektórzy z nich mieli jeszcze w ręku swe kije. Myślę doprawdy, że brali je z sobą do łóżka. Za płotem stał las, widmowy w blasku księżyca, a skroś mętny ruch, skroś słabe odgłosy tego nędznego dziedzińca, cisza kraju przenikała do duszy — jego tajemnica, jego wielkość, zdumiewająca rzeczywistość jego ukrytego życia. Ranny Murzyn pojękiwał słabo gdzieś w pobliżu i nagle westchnął głębo-

ko; przyśpieszyłem wnet kroku, aby się czempredziej oddalić. Poczulem, że czyjaś ręka wsuwa mi się pod ramię.

— „Drogi panie” — rzekł agent — „nie chcę być źle zrozumiany, szczególnie przez pana, ponieważ pan zobaczy się z Kurtzem długo przedtem, nim ja będę miał tę przyjemność. Nie chciałbym aby nabrał fałszywego wyobrażenia o mojem usposobieniu...”

— Pozwoliłem mówić dalej temu Mefistofelesowi z papier-maché, i zdawało mi się że gdybym chciał, mógłbym przebić go palcem, i nie znalazłbym w środku nic — chyba może trochę sypkiego brudu. Rozumiecie teraz? Ułożył sobie plan, iż zostanie z czasem zastępcą obecnego dyrektora; wyjaśniło mi się że przybycie tego Kurtza porządnie im obu krwi napsuło. Mówił z gwałtownym pośpiechem, a ja nie usiłowałem go zatrzymać. Stałem oparty plecami o swój rozbity parowiec, który wyglądał jak trup jakiegoś wielkiego rzecznoego zwierzęcia, wyciągnięty na pochyły brzeg. Miałem w nozdrzach woń mułu, pierwotnego mułu, daję słowo! a przed oczami wzniosła ciszę pierwotnego lasu; na czarnej zatoce lśniły świetliste plamy. Księżyc rozpostarł na wszystkiem cienką warstwę srebra — na bujnej trawie, na błocie, na murze skłębionej roślinności sięgającej wyżej od ścian świątyni, na wielkiej rzece, którą widziałem przez mroczną szparę jak błyszcząca i błyszcząca, płynąc bez szmeru rozległym nurtem. Wszystko to było wielkie, wyczekujące, nieme, a ten człowiek paplał o sobie. Zastanowiłem się, czy cisza na obliczu ogromu, patrzącego na nas obu, oznacza apel czy groźbę. Kimże byliśmy, my dwaj, którzyśmy tu zabłądzili? Czy owładniemy tą niemą rzeczą, czy też ona nami owładnie? Czułem jak wielką, jak piekielnie wielką jest ta rzecz, która mówić nie umie, a może jest także i głucha. Co w niej jest? Wiedziałem, że trochę kości słoniowej stamtąd się wydostaje i słyszałem iż w głębi kraju przebywa Kurtz. A słyszałem o tem — Bóg wie ile razy! Ale jakoś to wszystko nie przywodziło mi na myśl żadnego obrazu — tak jakby mi ktoś powiedział, że tam w głębi jest anioł lub djabeł. Wierzyłem temu w taki sam sposób, jakby który z was wierzył, że planeta Mars jest zamieszkała. Znałem raz szkockiego majstra od żagli, który był pewien, był bezwzględnie pewien, że na Marsie są ludzie. Kiedy go zapytywano jak sobie wyobraża ich wygląd i zachowanie, tracił rezon i mruzczał coś o tem, że „chodzą na czworakach”. Jeśli ktoś się chociażby uśmiechnął, ów człowiek — a miał już sześćdziesiątkę — wyzywał go na rękę. Nie byłbym poszedł tak daleko aby się bić za Kurtza, ale posunąłem się prawie do kłamstwa. Wiecie, że nienawidzę, nie cierpię, nie znoszę kłamstwa, nie dlatego abym był bardziej prawy od reszty ludzi, ale po prostu dlatego że kłamstwo mię przeraża. Ma w sobie znamię śmierci, jakąś cechę śmiertelności — która jest właśnie tem czego nienawidzę i nie cierpię — o czem pragnę zapomnieć. Gdy stykam się z kłamstwem, czuję się fatalnie i robi mi się mdło, zupełnie jakbym wziął do ust coś zgniłego. Przypuszczam, że to kwestja usposobienia. Otóż zbliżyłem się na tyle do kłamstwa, że pozwoliłem aby ten młody dureń uwierzył we wszystko, co sobie tylko wyimaguje na temat moich wpływów w Europie. W mig stałem się takim samym blagierem jak reszta zaczarowanych pielgrzymów. I to po prostu dlatego, że mi się zdawało iż moja błaga dopomoże temu Kurtzowi, którego w owym czasie jeszcze sobie nie mogłem wyobrazić — rozumiecie. Był dla mnie po prostu słowem. Nie umiałem sobie wystawić człowieka noszą-

cego to nazwisko, tak jak i wy go sobie wystawić nie możecie. Czy widzicie go? Czy rozumiecie tę całą historję? Czy rozumiecie z tego cośkolwiek? Mam wrażenie że usiłuję wam opowiedzieć sen — a wysiłek mój jest daremny, ponieważ żadna relacja nie może dać pojęcia o sennych wrażeniach, o tej mieszaninie bezsensu, niespodzianki i oszołomienia wśród dreszczów walki i buntu — o tem poczuciu, że się jest we władzy niewiarygodnego, — poczuciu które stanowi prawdziwą istotę snu...

Zamilkł na chwilę.

— ...Nie, to niemożliwe; niepodobna dać komuś pojęcia o jakiegokolwiek epoce swego życia — o tem co stanowi jej prawdę, jej znaczenie — jej subtelną i przejmującą treść. To niemożliwe. Żyjemy tak jak śnimy — samotni...

Urwał znów i jakby się zastanowił, a potem dodał —

— Wy, koledzy, możecie oczywiście z tego więcej zrozumieć, niż ja podówczas. Wy rozumiecie mnie, którego znacie...

Nastąpiła ciemność tak nieprzenikniona, że my, słuchacze, z trudem mogliśmy rozeznac swe twarze. Już od dłuższego czasu Marlow, siedzący oddzielnie, był dla nas tylko głosem. Nikt się nie odezwał. Może tamci pozasypiali, ale ja czuwałem. Słuchałem i słuchałem, czatując na zdanie, na słowo, na jakąś nić przewodnią wśród nieokreślonego niepokoju wzbudzonego tem opowiadaniem, które jakby się kształtowało bez ludzkich warg w ciężkiem, nocnem powietrzu nad rzeką.

— Tak, pozwoliłem mu ciągnąć dalej — zaczął znów Marlow — i puścić cugle wyobraźni na temat wszystkich potęg, które za mną stoją. Zrobiłem to! A za mną nie było nic. Nic prócz tego nędznego, starego, pokiereszowanego parowca o który się opierałem, podczas gdy tamten rozprawiał wymownie, że „koniecznem jest aby każdy jakoś się wybił”.

— „A kiedy człowiek tu przyjedzie, to — przecież pan rozumie — nie dlatego, aby patrzeć na księżyc”. I ciągnął dalej że Kurtz jest istotnie „uniwersalnym geniuszem”, lecz nawet genjuszowi łatwiej „pracować przy pomocy odpowiednich narzędzi — ludzi inteligentnych”. Cegiel wyrabiać nie można — zachodzi tu przeszkoda czysto fizyczna, jak to wiem dobrze; a jeśli on pełni przy dyrektorze funkcję sekretarza, to dlatego, że „żaden rozsądny człowiek nie odrzuci lekkomyślnie zaufania swych zwierzchników”. Czy to pojmuję? I owszem. A o co mi jeszcze chodzi? Chodzi mi właściwie o nity, na Boga! Nity. Żeby robota posunęła się naprzód, żeby raz skończyć z tą dziurą. Potrzeba mi nitów. Tam u wybrzeża są pełne ich skrzynie — leżą stosami — pęknięte — rozwalone! Co dwa kroki podrzuca się nogą rozsypane nity — na tym dziedzińcu stacyjnym na zboczu. Nity potoczyły się aż do gaju śmierci. Można sobie zapełnić kieszenie nitami schyliwszy się tylko poprostu — a tu, gdzie są potrzebne, niema ani jednego. Mamy odpowiednie płyty, ale ani jednego nitu aby je przymocować. — A tymczasem co tydzień posłaniec, samotny Murzyn z torbą od listów na ramieniu i kijem w ręce, wyruszał z naszej stacji na wybrzeże. I kilka razy na tydzień karawana z wybrzeża przybywała z towarami — okropnym, połyskliwym kretonem, na którego sam widok człowiek się wzdrygał, ze szklanemi paciorkami mniej więcej po pensie kwarta, i zakazanemi chustkami z perkalu w deseń. Ale nitów ani śladu. Trzej tragarze byliby mogli przynieść wszystko czego potrzebowałem do spuszczenia statku na wodę.

— Mówił do mnie coraz poufniej, ale zdaje się że moja obojętna postawa musiała go wreszcie rozjątrzyć, bo uznał za stosowne mię poinformować że nie lęka się ani Boga, ani djabła, nie mówiąc już o zwykłym człowieku. Odrzekłem że to widać odrazu, ale że potrzebuję pewnej ilości nitów — i że nity są właśnie tem, czegooby Kurtz potrzebował, gdyby tylko wiedział jak rzeczy stoją. Przecież listy odchodzą co tydzień na wybrzeże...

— „Panie kochany” — wykrzyknął — „ja piszę co mi dyktują!”

— Domagałem się nitów w dalszym ciągu. Musi być na to jakiś sposób — dla inteligentnego człowieka. Agent zmienił swój sposób bycia; stał się bardzo zimnym, i nagle zaczął mówić o pewnym hipopotamie; dopytywał się czy nic mi nie przeszkadza spać na parowcu (tkwiłem dzień i noc na wyratowanym statku). Jest w tamtej okolicy stary hipopotam, który ma brzydki zwyczaj wyłażenia na brzeg i błędzenia nocą po gruntach stacji. Pielgrzymi wyruszają tłumnie i palą do niego ze wszystkich strzelb jakie tylko mają pod ręką. Niektórzy nawet czatują na niego całymi nocami. Ale wszystka ta energia się marnuje.

— „To zwierzę ma jakiś czar przeciw śmierci — rzekł; — ale to można powiedzieć tylko o bydłach w tym kraju. Żaden człowiek — czy pan mię rozumie? — żaden człowiek tutaj nie ma czaru przeciw śmierci”.

— Stał tam przez chwilę w świetle księżyca ze swoim cienkim, haczykowatym nosem trochę krzywo osadzonym i oczyma z miki błyszczącymi bez ruchu. Wreszcie powiedział mi krótko: dobranoc, i odszedł wielkim krokiem. Wiedziałem że jest zaniepokojony, że nie wie co ma myśleć, i dzięki temu po raz pierwszy od wielu dni poczułem przypływ nadziei. Sprawilo mi to wielką ulgę, iż rozstawszy się z tym facetem mogłem wrócić do mego wpływowego przyjaciela, którym był pogruchotany, pogięty, zrujnowany, tandetny parowiec. Wspiąłem się na pokład. Statek zadzwierał pod memi nogami, jakbym kopnął nad rynsztokiem pustą blaszaną skrzynkę po sucharach, firmy Huntley & Palmer; wykonanie jego było znacznie mniej solidne, kształt chyba brzydszy, ale włożyłem w niego tyle ciężkiej pracy że go pokochałem. Żaden wpływowy przyjaciel nie byłby mi się tak dobrze przysłużył. Ten statek dał mi sposobność do wypróbowania siebie — do przekonania się czego mogę dokonać. Nie, ja pracować nie lubię. Wolę próżnować i myśleć o wszystkich pięknych rzeczach, które można zrobić. Nie lubię pracy — żaden człowiek jej nie lubi — ale lubię to co jest w pracy — sposobność do odnalezienia w niej siebie samego — swej własnej rzeczywistości — dla siebie, nie dla innych — rzeczywistości której inni ludzie poznać nie mogą. Widzą tylko pozory, i nigdy nie są w stanie powiedzieć co one naprawdę znaczą.

— Nie zdziwiłem się, spostrzegłszy że ktoś siedzi na rufie, na pokładzie, dyndając nogami nad białym. Trzeba wam wiedzieć, że łączyły mię dość zażyłe stosunki z nielicznymi rzemieślnikami ze stacji, którymi reszta pielgrzymów naturalnie gardziła — przypuszczam, że ze względu na ich nieświete maniere. Otóż ten o którym mówię — kotlarz z zawodu — był ich prowodyrem i dobrym pracownikiem. Był to szczupły, kościsty człowiek o żółtej cerze i wielkich, zapatrzonych oczach. Miał wygląd skłopotany a głowę łysą jak dłoń; jego włosy, wypadając, jakby się uczepliły policzków i widać czuły się

dobrze na tem nowem miejscu, gdyż broda zwisała mu do pasa. Był to wdowiec z sześciorgiem drobnych dzieci (zostawił je pod opieką siostry by móc tu przyjechać), a namiętność jego życia stanowiły gołębie. Był ich miłośnikiem i znawcą. Mówił o nich z uniesieniem. Po skończonej pracy przychodził do mnie czasem na rozmowę o swych dzieciach i gołębciach; przy robocie, gdy musiał czołgać się w szlamie pod dnem parowca, obwiązywał sobie brodę czemś w rodzaju białej serwety, którą przynosił w tym celu. Owa serweta miała duże pętle do zakładania na uszy. Wieczorem widać go było przykucniętego na brzegu, jak płukał w zatoce ten pokrowiec z wielką starannością, a potem rozpościarał go uroczyście na krzaku aby wysechł.

— Trzepnąłem maszynistę w plecy, wołając: „Dostaniemy nity!” Wygramolił się na nogi i wykrzyknął, jakby nie wierząc własnym uszom: „Nie, doprawdy! Nity?” Potem dodał pocichu: „To pan... prawda?” Nie wiem dlaczego zachowywaliśmy się jak warjaci. Przytknąłem palec do nosa, kiwając tajemniczo głową. „W górę pana!” zawołał i przytknął palcami, podniósłszy jedną nogę. Sprobowałem zatańczyć dżiga. Wskakiwaliśmy po żelaznym pokładzie. Straszny tupot rozebrzmiał na statku i odbił się o dziewiczy las na drugim brzegu zatoki, wracając na śpiącą stację w grzmiącym łoskocie. Niektórzy z pielgrzymów obudzili się pewnie w swych lepiankach. Ciemna jakaś postać zasłoniła oświetlone drzwi chaty dyrektora, poczem znikła; po sekundzie czy dwóch oświetlone drzwi znikły również. Uspokoił się, a cisza odepchnięta naszym tupaniem przyplęnęła znów z głębi kraju. Wielki mur roślinny, bujna, pogmatwana masa pni, gałęzi, liści, konarów i girland, nieruchomych w świetle księżyca, przypominała najście bezgłośnego życia, toczącą się falą roślin, spiętrzoną, czubatą, gotową runąć na zatokę i wymieść każdego z nas, drobnych człowieczków, poza obręb naszego mizernego życia. Fala stała bez ruchu. Z oddali doszedł nas zgłuszony wybuch potężnych plusków i parskań, jakby jaki ichtjozaurus się kąpał w blasku wielkiej rzeki.

— „Ostatecznie” — rzekł kotlarz rozsądnym tonem — „dlaczego byśmy nie mieli dostać nitów?” — I rzeczywiście, dlaczego? Nie wiedziałem o żadnej przeszkodzie.

— „Nadejdą za trzy tygodnie” — rzekłem ufnie.

— Ale nie nadeszły. Zamiast nitów spadł na nas najazd, kara, dopust boży. A spadał stopniowo — oddziałami — w ciągu najbliższych trzech tygodni; przed każdym oddziałem stapał osioł, a na nim siedział biały w nowem ubraniu i ciemno-żółtych trzewikach, kłaniając się z tego wzniesienia na prawo i lewo poruszonym pielgrzymom. Kłótniwa banda markotnych i chorych na nogi Negrów deptała osłom po piętach; na dziedzińcu pozruczano mnóstwo namiotów, polowych stołków, blaszanych pudeł, białych skrzynek i brunatnych pak, a atmosfera tajemniczości pogłębiła się jeszcze nad stacyjnym zamętym. Nadeszło pięć takich porcyj, mających bezsensowny wygląd oddziałów uchodzących bezładnie z łupem po ograbieniu niezliczonych sklepów z odzieżą i żywnością; zdawało się że wloką za sobą w głuchą dzicz owe łupy z najeźdniczej wyprawy, aby się sprawiedliwie podzielić. Była to gmatwanina przedmiotów w gruncie rzeczy porządnych, którym ludzka głupota nadała pozór łupów.

(D. c. n.).

## ELEGJA NA ŚMIERĆ

## KSIĘCIA A. J. ODOJEWSKIEGO \*)

Ja znałem go. Tęsknoty ból nas sprzągł  
 W wędrówkach wśród gór Wschodu, i w przyjaźni  
 Z nim żyliśmy, lecz ja w rodzinny krąg  
 Wróciłem sam: wygnańczej mojej kaźni  
 Kres nadszedł, gdy upłynął próby czas.  
 O jakże chciał powrócić w swoje progi!  
 Strawiony przez chorobę biednie zgasł  
 W namiocie wśród pochodu, z ziemskiej drogi  
 W swej piersi w grób unosząc natchnień rój,  
 Niejasnych i nieźrzałych, oraz błogich  
 Nadziei i daremnych żalów zdroj.

Urodził się już do nadziei tych,  
 Poezji — i do szczęścia. Lecz, szalony,  
 Za wcześnie zbyt się szat chłopięcych swych  
 I serce dał na życia nurt wzburzony.  
 Nie szczędził go świat i przyspieszył kres.  
 Nie ujrzął nikt, wśród ducha zmagania trudnych,  
 Wśród tłumów czy wśród pustyni tych bezludnych,  
 By cichy w nim uczucia płomień zczęł:  
 Zachował blask swych oczu lazuruowy  
 I dziecka śmiech tak dźwięczny, żywą mowę,  
 I wiary swej skarb — w ludzi, w życie nowe.

Zdaleka od przyjaciół ginął, sam...  
 Niech serce twe spoczywa, bracie miły!  
 Pod ziemią pół ci obcych leżąc tam,  
 Niech cicho śpi wśród niemej swej mogiły,  
 Jak przyjaźń ma, w pamięci skryta chram.  
 Bezgłośnieś zmarł, i tylu innych śladem  
 Niezłomnie, a tajemnej dumy cień  
 Nie skończył żyć na twojem czole bladym,  
 Gdy oczy ci wieczysty zawarł sen,  
 Lecz to, coś rzekł przy śmierci swej tułaczey,  
 Nie było już pojęte od słuchaczy.

Czy było stron ojczystych pozdrowieniem,  
 Czy druha-ś skąd z oddali przyzwać chciał,  
 Czy było twych lat młodych uzaleniem,  
 Ostatnich-li głos cierpień to być miał —  
 Któż powie to? Treść twych milknących słów,  
 Głębokie, ach — i gorzkie ich znaczenie  
 Stracone. Ni rozważań, sądów, snów,  
 Ni śladu dzieł twych. Tak to obłok ów  
 Leciuchny, gdy zórz barwą ledwie spleonie,  
 Już wiatr go przez błękitu pędzi tonie —  
 Skąd, poco, gdzie? Jak senne mija cienie,  
 Wnet niebo zeń zatraci wszelki ślad.  
 Tak ginie też chłopięczej czar miłości

\*) Książę Aleksander Odojewskij (1803 — 1839), dekabrysta, zesłany na Sybir do Czyty i Petrowska, w r. 1833 na osiedlenie do Iszyna, od r. 1837 wcielony „miłościwie” jako szeregowiec do walczącej na Kaukazie armji. Według zgodnego świadectwa współczesnych, był rozumny, wykształcony i szlachetny. Pisał, a przeważnie improwizował utwory charakteru elegijnego, przepojone miłością ludzkości. W r. 1862 wyszedł w Lipsku tomik, zawierający 17 zebranych przez przyjaciół utworów, w r. 1883 baron Rosen wydał powiększony zbiór 46 utworów. Śród nich dwa poświęcone są Adolfowi Januskiewiczowi, z którym go łączyły serdeczne stosunki.

I marzeń, bez nadziei, wiosny lat.  
 Nikt nie znał ich — zostaną już w skrytości...  
 I na cóż-bo?... Bodaj zapomniał świat  
 O tobie, coś mu obcy tak bezmiernie!...  
 Cóż dla cię miał? czcnych pochwał, wieńców szczyh,  
 Czy ostre swych potwarzy nędznych ciernie?  
 Nie jegoś był! Za dni wiosnianych swych  
 Skrwawioneś chciał otrząsnąć zeń łańcuchy.  
 Kochałeś szum mórza, step w czas ciszy głuchej,

I zjawy gór — zębatych, mglistych mar.  
 I los dla twej mogiły bez imienia  
 Pośmiertny lecz cudowny rzucił dar:  
 To wszystko, coś miłował za istnienia —  
 Błękitny step i gór Kaukazu czar,  
 Co pasmem go srebrzystem obramienia.  
 Ku morzu on, schmurzony, schylił skroń,  
 Jak olbrzym na swą tarcz skłoniony. Doń  
 Lgnie morze. Szept mu niesie fala głucha,  
 A olbrzym fal-koczownic sennie słucha.

## ME PIERSI CHORE SA...

Me piersi chore są — ratunku dla mnie niema,  
 W młodości ginę pełnym kwiecie.

Lecz dobrze! Ziemska mnie tu rozkosz nie

[zatrzyma —

Jam nie dla ludzi żył na świecie.  
 Uczucie jedno mi zabrało duszę całą,  
 Złe losy jednak nas rzuciły  
 Na różnych szlaki dróg — śnać Niebo nie zechciało  
 Dać nam się spotkać u mogiły.  
 Na zachód patrzę się — tam się w ogniste zorze  
 Konając słońce roziskrzyło.  
 Myśl płynie w jego ślad: ach, ono wie to, może,  
 Jak wskrzeszać serca marę miłą.  
 Rażony blaskiem wzrok mgła ciemna mi przestania;  
 Na chwilę krótką zeń ulata  
 Czar dziwny oczu jej i uścisk pożegnania,  
 Co mnie ścigają na kraj świata.

## SONET.

Pamięcią żyję znów z zmarłymi marzeniami,  
 I zjawy dawnych lat wskrzesają wokół mnie,  
 I obraz twój wśród nich jak żywy znów mnie mami,  
 Jak miesiąc, kiedy chmur rozedrze ciemną mgłę.

Choć władztwo twe się już ciężarem czasem zda mi  
 Czar dziwny oczu twych, kiedy uśmiechasz się,  
 Niewolniczymi mię przykuwa łańcuchami.

Ach, pocóż wszystko to? Wszak mię nie kochasz,  
 [nie!...

Miłości mej twój duch pogardą nie odtrąca,  
 Lecz obojętne na błagania serce masz.  
 Tak na wybrzeżu mórza gdzieś bóstwo marmurowe

Widnieje — pod niem tuż się fala kłębi drżąca;  
 Skroś wielki w boski chłód niezmienną kryjąc twarz,  
 Nie zważa, że do stóp mu hołdy śle wciąż nowe.